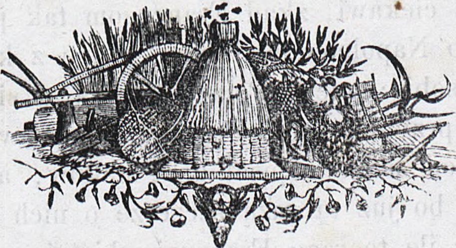
Tom XIII. Nr. 2.

11. lipca 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

## PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

# Polska po swym upadku.

### II. O Polakach pod Napoleonem i o Xięztwie Warszawskiem.

Kiedy dzielni wojacy polscy, którzy byli w legionach, ginęli z winy francuzkiej marnie w obcych gorących krajach, zamiast tak jak tego z duszy pragnęli, bić się za własną polską ziemię — to ów jenerał Napoleon doszedł do takiej sławy i potęgi, że się ogłosił cesarzem francuzkim. Takto nieraz szczęście człowieka wywyższa na świecie. Ten Napoleon był za młodu chudziną, synem ubogich rodziców z małej wysepki Korsyki, i ano patrzcie, niezadługo z oficera został jenerałem a nareszcie zasiadł sobie na tronie cesarskim! Ale choć mu Bóg tak pomógł szczęśliwie do monarszej korony, to on niewdzięcznik nie pamiętał o tem, aby Polaków za ich wierne usługi wojenne wynagrodzić po słuszności. A byłoby mu to tak łatwo, jakby palcem kiwnąć, bo był wielki monarcha i wojownik ogromny, że aż cały świat prawie bał go się jak ognia!

Zabrakło nakoniec cierpliwości Polakom i umyślili Napoleona porzucić i sami o sobie radzić, kiedy na raz po całej Francyi piszą i rozpowiadają, że tak długo na świecie spokoj-

nie nie będzie, dopokąd Polska nie zostanie wolną, że trzeba o tem pomyśleć i to jak najprędzej.

Pewnieście ciekawi, zkąd Francuzom tak prędko serce do nas urosło. Oto Napoleon miał mieć wojnę z królem pruskim, więc pomyślał sobie: niech Polacy zrobią u siebie rewolucją, to mi snadniej przyjdzie zbić Prusaka. Posłał więc do Kościuszki, żeby on od siebie napisał do Polaków, aby się z Francuzami łączyli, bo już tą razą szczerze o nich myśli. Ale Kościuszko widząc ile to razy Francuzi obietnicy nie dotrzymali, nie wierzył i teraz Napoleonowi, i pisania posłać nie chciał. A okazało się później jasno, że Kościuszko miał rację.

Wyruszył też niedługo Napoleon na Prusaków i nie bawiąc, zbił ich pod Jeną roku 1806, jakoś koło Wszystkich Świętych. Potem szedł dalej, a zabierał miasta i fortece aż zaszedł do Berlina, stolicy króla pruskiego. Samo to wszystko padało w jego ręce tak nawet, że się schylić po nic nie potrzebował. Król pruski uciekł z żoną i dziećmi do Królewca i wszyscy myśleli, że Napoleon królestwo pruskie skasuje, takie niedawne, a jeno złożone z urwanych krajów sąsiadom.

Skoro się Polacy o pobiciu Niemców dowiedzieli, radość była nie do opisania.

Niemcy wystraszeni, bladzi, pakowali się a uciekali, wozami, piechotą, jak który mógł, niemało jednak te Szwabiska myślały: gdzie to uciekać, bo w Berlinie Francuzi, a Królewiec pewnie odbiorą Polacy sobie. Więc uciekali, jak błędne owce, byle jeno za Polskę. W tydzień po Wszystkich Świętych, to jest 7. Listopada 1806, wszedł Jenerał Dąbrowski na czele wojska polskego do Poznania. Cóż też to była za szczęśliwa godzina — ściskano nietylko żołnierzy, ale ich konie i broń, kobiety koszami wynosiły kwiaty, a stroiły wojaków, częstowały ich cukrami, ciastami, winem i słodką wódką, i czem jeno mogły najlepszem; rozszarpywano ich sobie na kwatery, a tam dopiero przyjmowano, jak rodzonych braci. Po wszystkich wsiach w każdej chacie radość nie do opisania, boć po dziesięciu latach nadeszła chwiła, że Polacy na własnej ziemi za swoją Ojczyznę walczyć będą mogli. Kto też jeno mógł, chwytał

za broń, nietylko młodzieńcy, ale i ludzie stateczni, a wojska przyrastało, jakby z pod ziemi wychodziło. Pięć dni upłynęło, a już Dąbrowski zebrał żołnierzy do kilku tysięcy. Dnia 27 Listopada wjechał Napoleon do Poznania w nocy, całe miasto oświetlone na znak radości, puszczano fajerwerki, a lud rozweselony tysiącami uwijał się po ulicach.

Francuzi nie bawiąc, poszli do Warszawy, i cały polski kraj co Prusacy byli zabrali, obsadzili swojem wojskiem. Ale nie zastali już nigdzie Prusaków, bo choć to zawsze powolne, to w strachu bardzo chybkie. Nie czekając więc Francuzów, oddali zarząd Warszawy książęciu Józefowi Poniatowskiemu, który tam od wojny kościuszkowskiej przemieszkiwał. Zjechał tam i Napoleon, ale słowa nie wyrzekł Polakom o Ojczyźnie; upominał się tyko, żeby jego wojsko dobrze jadło i piło, a Polaków co najwięcej do broni stawało.

Nie ustanowił Napoleon jenerała Dąbrowskiego wodzem wojska, jak mu się sprawiedliwie należało, i jak tego Polacy pragnęli, ale Józefa Poniatowskiègo, że to był z królewskiej krwi. Prawda, że i książe Poniatowski był uczciwy Polak, a nie tąki niezdara i lizun moskiewski, jak jego krewniak, co był ostatnim pożal się Boże królem polskim, ale owszem był ten książe Józef żołnierzem dzielnym i kraj swój kochał jak się patrzy. Tymczasem król pruski dostał pomoc od cara moskiewskiego, syna Pawła, którego sami Moskale już udusili, a temu nowemu carowi, było na imię Aleksander. Ale nic nie pomogło, choć się Prusacy z Moskalami wzięli za ręce, bo jak Polacy i Francuzi wyruszyli na nich, to nie wyszło pare tygodni, a już byli ci ciemiężyciele na nic pobici. Król pruski dopiero w strach: widział wtedy, co to jest łakomić się na cudze, że snadnie i trochę własnego można przytem stracić. Pakował się znowu z żoną i dziećmi, żeby uciekać do cara moskiewskiego, bo wojska mało mu już co zostało.

Odbywały się te wszystkie bitwy tam z tej strony Wisły za Warszawą i za Toruniem i wzdłuż, aż przez polskie Prusy, a najkrwawsza była bitwa pod Iławą czyli Eylau, w której nieprzyjaciele stracili 40 tysięcy w zabitych i rannych, 65 armat i 16 chorągwi. Działo się to w zimie 1807 roku. Potem ka-

zał Napoleon oblegać swoim wojskom Gdańsk; żal go okrutnie było Prusakom, bo to miasto nadmorskie, bogate, i uprosili sobie jeszcze Moskali, żeby z nimi bronili. Ale polskie i francuzkie wojska pod Dąbrowskim tak się mężnie biły, że choćby im było przyszło piekło zdobywać, to wśród czartowskiego ognia byliby je wzięli. Wygnali więc Prusaków i z Gdańska, a potem na tydzień przed św. Janem Chrzcicielem przyszedł też ostatni koniec na Prusaków, bo Napoleon zbił ich i moskiewskie wojska pod Frydlandem do szczętu, i zabrał zaraz Królewiec.

Widząc Moskale, że już tyle natracili wojska a Napoleonowi nic zrobić nie mogą, zabrali się i poszli zkąd przyszli. Już też teraz Polacy byli pewni, że kiedy Napoleon dwóch tych ciemiężycieli w niwec obrócił, to go już nic nie będzie kosztowało, choć im Polskę odbierze, a Polakom odda. Ale gdzież tam, ani pomyślał cesarz Francuzów o takiej sprawiedliwości, bił on się na polskiej ziemi nie o Polskę, jeno kto światem ma rządzić, on czy dawni monarchowie, a kiedy ich pobił, więc został panem świata, to mu i dosyć, a ty Polsko, jak sobie chcesz. Oj pamiętajmy mili ludzie: że łaska pańska na bystrym koniu jeździ! Byłby sobie mógł Napoleon rozpomnieć krew Polaków, co nią skropili wszystkie świata strony za wolność jego kraju, kości ich co bieleją na wszystkich pobojowiskach obok kości Francuzów!

Po skończonej wojnie zjechał się Napoleon z carem moskiewskim Aleksandrem w mieście Tylży nad rzeką Niemnem. Zaraz też pokazał się i król pruski i na tem stanęło: że Polski nie będzie, jeno ten kawał, co Prusacy zagarnęli w trzech zaborach, Napoleon przezwie Xięstwem Warszawskiem i odda Polakom. Ale i z tego jeszcze daruje kraj Prusakom od Litwy aż do Pomorza, a Moskalom kawał kraju składający się z kilkunastu powiatów. Miasto zaś Gdańsk miało się rządzić samo. Na książęcia Warszawskiego wyznaczył księcia Saskiego z Drezna.

Nie tyle gospodarz truchleje, kiedy widzi spadające grady i pioruny na jego pełne kłosów zboże, jak struchlał naród polski na wiadomość zmowy Tylżyckiej Napoleona z Prusakiem

i Moskalem, widzieli dopiero wszyscy, że za nadto Francuzom zaufali, że nie masz narodu na świecie, coby miał rzetelne zamiary dla Polski. Płacz i narzekanie rozległo się po krajach polskich, bo z dwudziestu milionów zaledwie dwa miliony Polaków było wolnych. Umierający też na tenczas pewien Polak prawy, marszałek Małachowski, konającemi usty przeklinał Napoleona: aby sam popadł i umierał w ciężkiej niewoli. I spełniło się to przekleństwo cnotliwego starca, jak wam to później opowiem.

Wśród tego wielkiego utrapienia nadesłał Napoleon Polakom konstytucyą, aby się pedług niej rządzili. Odczytawszy ją naród dosyć się ucieszył, bo przynajmniej zostawiono każdemu człowiekowi wolność; szlachcic, chłop, mieszczanin, wszyscy podług tej konstytucyi uważani byli za braci, i jednych praw i rządów mieli słuchać. Sejm miał się zbierać co dwa lata, a w nim wszystkie stany miały radzić nad potrzebami kraju. Zdzierstw też żadnych nie było, bo urzędnicy sami Polacy, gdyż choć to były rządy Napoleona, ale Francuzi nie cisną się do wyjadania cudzego chleba, pracują swojej Ojczyźnie i w niej mają wyżywienie, bo nie mają psiej natury, co to za kawałkiem chleba leci i na drugi koniec świata. Było jednak za tych francuzkich czasów biedy pod uszy, bo kraik mały, a wystawił wojska aż do 90 tysięcy. Oj! gdyby tak to wojsko było można obrócić na Moskwę a odbierać co swoje, toby było szczęściem. Ale tu cesarz Napoleon pan połowy świata inaczej rozkazał, bo zabrał większą część i posłał na Hiszpanów. Krajało się polskiemu żołnierzowi serce, że idzie wojować lud obcy, który broni swojej wolności, a który na przeciw Polsce nigdy nie zgrzeszył. Wiele też polskiego żołnierza porozrzucano w niemieckich krajach dla strzeżenia Francuzom fortec, innych znowu posłano do Włoch na Austryaków. Dla strzeżenia zaś granic Xięstwa Warszawskiego zostawiono xięciu Poniatowskiemu 13 tysięcy wojska.

Co zaś dalej się stało opowiemy wam na raz przyszły.

# Dziesięcioro Bożego przykazania.

*Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną!*
Powiada pierwsze Boże przykazanie,
Znaczy byś marą nie zwiódł się daremną,
Nie wierzył w żadne dziwaczne gadanie,
O strachach, wiedźmach, czarownicach, zmorach,
O wilkołakach, urokach, upiorach,
Bo to są same głupie zabobony,
Gusła: co ludzie wymyślili sobie;
W Boga wierz tylko, a będziesz zbawiony
I w to co kościoł każe wierzyć tobie.
*Imienia mego nie bierz nadaremno!*
Znaczy byś strzegł się co chwila zaklinać,
*Jak Boga kocham! Bóg widzi! Bóg ze mną!*
Bo to grzech wielki to Imię wspominać,
W codziennych sprawach ludzkiego żywota,
Gdzie tyle złego i taka sromota.
To imię święte mów w pacierza słowach,
A nie zaś w kłótniach, swarach i rozmowach.
*Pamiętaj, abyś uświęcał dnie święte!*
Znaczy, byś summy wysłuchał w niedzielę
I w inne święta przez kościoł przyjęte;
A masz przykładnie modlić się w kościele.
Gdy z nabożeństwa powracasz do siebie,
Odpocznij trochę, pobaw się z dziatkami,
Pogadaj z niemi o Bogu i niebie,
Nie trzymaj z grzesznym, ani z pijakami,
Do karczmy nie chodź, tam nie twoja droga.
Bo to obraza wielka Pana Boga,
Gdy człek jak bydlę, bez woli, pamięci,
Gorzałką tylko dzień świąteczny święci.
*Czcij ojca twego, czcij i matkę twoją,*
*Ażebyś długo żył w szczęściu na ziemi!*
Znaczy, niech dziatki rodziców się boją,
Niech ich szanują czynami swojemi.
Gdy mówi rodzic, słuchaj go w pokorze,
Daj mu wygodę, strawę w każdej porze,
Bo się ojcowie siła już nażyli,
Napracowali na nas, nabiedzili,
Toć im odpocząć a nam zaś pracować,
I znów się z dziatek pociechy dochować.

Piąte powiada *nie zabijaj* człeka!
A nie o zbójcy tylko nam powiada,
Co to przy drodze na jadących czeka,
Lub w cieniach nocy z palicą zasiada.
Ale i o tym, który burdy broi,
Po karczmach, szynkach, krwawi i kaleczy,
Co się i ludzi i Boga nie boi,
I tylko kłótni szuka z każdej rzeczy,
Bo chłop swarliwy to jest straszna plaga.
Ludzie go nie czczą, Bóg mu nie pomaga.

Szóste powiada: człeku *nie cudzołóż!*
Bo cudzołożnik to bydlę plugawe;
Więc czystość myśli w swych uczynkach połóż,
W czystości pocznij każdą życia sprawę.

Siódme *nie kradnij*, i pamiętaj o tem,
Że nie ten tylko złodziej się nazywa,
Co się obławia skrycie cudzem złotem,
Lub co skradzione bydlęta ukrywa:
Ale ten także co niby handluje,
A tu wymaga, tam zaś wyszachruje,
Wydrwi, stumani, okłamie, wyłudzi,
I ciągnie zyski z łatwowiernych ludzi.

Ósme zaś mówiąc: *nie dawaj fałszywie*
*Świadectwa twego przeciwko bliźniemu!*
Każe nietylko zaświadczyć prawdziwie,
Ale nie gadać nic przeciw drugiemu,
Coby szkodziło jego dobrej sławie.
Strzedz się potwarzy, plotek i obmowy,
Żyć tylko prawdą zawsze w każdej sprawie,
Bo często złemi kto zaszkodzi słowy;
A komu prawdy miła tylko droga,
Ma cześć u ludzi i miłość u Boga.

*Bliźniego twego nie pożądaj żony!*
Mówi dziewiąte przykazanie Boga,
Znaczy, byś nigdy żądzą zaślepiony,
Nie dał uciechy dla duszy twej wroga;
Bo djabeł nie spi i z tego się cieszy,
Gdy kto choć myślą przeciw Bogu grzeszy.

*Nie będziesz żadnej rzeczy zgoła żądał,*
*Która jest twego bliźniego własnością!*
Znaczy nakoniec abyś nie wyglądał
Cudzego dobra, ale z uczciwością

Na swe pracował. Bo łakomiec chciwy,
Co wziąć łapczywie cudze mienie śledzi,
Całe swe życie będzie nieszczęśliwy.
Chciałby mieć wszystko co mają sąsiedzi,
I konie, woły i rolę i sługi
I chatę, brogi i wozy i pługi,
A gdy tak w sprośnej zawiści się trawi,
W własnej mu pracy Bóg nie błogosławi.

# Ambo-Terno

czyli:

## Jak Stach Loternik zmarł śmiercią mizerną.

We wsi Modrzejce na samym końcu stała duża kowalowa chata, koło kowalowej chaty piękne stodoły i stogi, koło stodoły i stogów wielki sad aż miło patrzeć, a koło sadu porządna kuźnia, a w kuźni kuł żywo i ochoczo sam kowal Stach Gozda...

Tęgi był chłop ten Stach Gozda, tęgo pracował i tęgo też zarabiał od ludzi. Lubiła gromada kowala, bo człek był dobry i sprawiedliwy, garnęli się do niego i wieśniacy i furmani i panowie z okolusieńka, bo dobrze robił a w zapłacie nie zdzierał, przyrastał mu dobytek, bo pilnie chodził koło swego, mnożył się grosz odkładany w skrzyni, bo go nie trwonił na marności.

Toż w obejściu Stacha kowala rojno i suto, pełno i dostatnio, jakby na folwarku. W stajniach ryczy piękne bydełko, u woza grzebią kopytami konie jak katy, do stodół zwożą zboże, aż się wleźć nie może, w chacie dostatki i zdrowe dziatki, koło kuźni huk ludzi na robotę czeka, a w kuźni stuku puku, puku stuku! pan majster Stach Gozda z czeladnikami kuje i nituje, aż kowadło stęka a miech mało nie pęka...

A pani majstrowa, kobieta jak jagoda, koło chaty się krząta, przygarnia i sprząta, koło krówek chodzi i grosz po groszu do starej pończochy wsypuje. Tak pracuje on sobie, ona sobie, a gdy tydzień minie, to w sobotę wieczorem obrachują razem, ile płacy mieli z pracy i z serca się uściskają i Bogu za łaskę dziękują i dziatkami się cieszą. A w niedzielę

świętą, aż patrzyć miło, pan majster z panią majstrową do kościoła suną, on w sutej kapocie z niebieskiego sukna, ona w barwistej spodnicy i w cieniuchnym żupanie z koralami aż po pas prawie.

I ludzie wtedy patrzą, dobrzy im doli winszują, źli im zazdroszczą a wszyscy mówią:

— Hej! hej! szczęśliwyż to człowiek ten Stach Gozda, szczęśliwy ten kowal, grosz zbiera, majątku przysparza i setnie sobie żyje, a Bóg mu błogosławi!...

I prawdę ludzie mówili! Stach Gozda był szczęśliwy i szczęście to nie byłoby go może nigdy za łaską Bożą opuściło — gdyby nie jego własna wina, że ledwie kilka lat minęło, on i mienie i szczęście i spokój przemarnował! A jak to wszystko się przydarzyło o tem tu taką macie historyę.

Stach Gozda często jeździł do miasta, bo prawie co tydzień potrzeba mu było zakupywać dużo żelaza. Otóż razu pewnego pojechał znowu swoim zwyczajem za tym sprawunkiem — zakupił szyn tęgich, naładował na wóz swój własny i miał już ruszać z miejsca, aby przed wieczorem stanąć w domu, kiedy naraz widzi jakiegoś pana w pięknem miejskiem ubraniu, w błyszczącym kapeluszu, z złotym łańcuchem przy zegarku i z cygarem w gębie.

Pan ten szedł sobie dumnie przez ulicę i nadymał się jak paw na dworskiem podwórzu, a cygaro smolił jak z komina, a ciągle z pod oka na Stacha zerkał. Stach się rozciekawił i rad był wiedzieć co to za pan taki bogaty i czemu tak spogląda na niego, więc też zatrzymał się przy wozie i patrzy na tego jegomościa i z uszanowaniem czapki uchyla, bo myślał już nawet, że to sam pan starosta może.

Ale im więcej wpatrywał się majster Stach w tego pana, tem bardziej mu się widziało, że go gdzieś widział, ba że go nawet zna dobrze. A i ów pan coś sobie także przypomniał, bo stanął naprzeciw Stacha i puszczając dym z gęby przypatrywał mu się uważnie. Nasz Stach aż podskoczył od woza i aż krzyknął z podziwu, bo poznał naraz, że ten pan sierdzisty to nikt inny jeno Antek Dłuba, kowalczyk z Jasła, z którym razem terminował za młodu u majstra!

— A wej wej! — huknął Stach z całego gardła aż się konie ulękły — a toć to Antek Dłuba!!

— Oho! ho! — zawołał pan w błyszczącym kapeluszu i pyknął dymem na wiatr — to wy Stachu!

Stach już skoczył naprzód i chciał pochwycić w ramiona starego znajomego, aby go serdecznie powitać i ucałować — ale Antek Dłuba w czarnym surducie i błyszczącym kapeluszu tak się jakoś z pańska na niego popatrzył i tak pysznie dymem z cygara buchnął w powietrze, że Stach stanął na miejscu i jeno obie ręce naprzód wysunął.

Wtedy Antek posuwisto zbliżył się do Stacha, wyrzucił z pańska cygaro naprzód i potrząsając jedną ręką złoty łańcuch od zegarka, poklepał drugą Stacha po ramieniu.

— No, no, jak się macie Stachu? — mówił klepiąc go po ramieniu ręką, na której złote pierścienie świeciły się na słońcu — nie poznaliście mnie co? hę? Stanisławie? — i zaczął się śmiać, aż mu się trząsł tłusty podbrudek.

— O com nie poznał, to nie poznał! — mówi kowal Stanisław — ale bo też zmieniliście się Antku, czy tam za przeproszeniem... panie Antoni, aż strach! A gdzież ja kiedy mógł myśleć, że was takim wielkim panem zdybię w świecie! Hej hej! Musiał na was Bóg bardzo być łaskaw, panie Antoni!

Antoni nic nie odpowiedział, jeno pogłaskał się po brzuchu, popatrzył na duży złoty zegarek i poprawił błyszczącego kapelusza, a potem rzekł do Stacha:

— Ot wiecie co Stanisławie, tu pod gołem niebem nie dobrze rozmawiać, chodźcie tu na róg do austerji a przy winie rozpowiem wam wszystko.

Stanisław nie dał się długo prosić, bo ciekaw był strasznie, i tak zasiedli obaj w szynku za stołem a Antoni kazawszy dać wina zapalił sobie nowe cygaro, buchnął dymem, splunął i tak zaczął prawić:

— Moja historja krótka. Pamiętacie, jakeśmy terminowali w Jaśle u majstra Zużla. Wy prędzej wyszli z terminu a ja został jeszcze. Już to mi się pracować nie chciało, bo ja zawsze wiedział, żem na pana zrodzony — (tu Antoni podgładził sobie czuprynę palcami ze złotemi pierścieniami i puścił dym z cygara

aż pod samą powałę.) Pamiętacie pewnie, że jeszcze małym chłopcem lubiłem stawić na loterję. Otóż miałem zawsze nadzieję, że kiedyś duży grosz wygram i pracować nie będę potrzebował. Toć też jak zostałem czeladnikiem, tom tyle tylko robił, aby mieć za co postawić na loterję. Długo nie mogłem wygrać, ale nie darowałem swego i oto dwa lata temu wygrałem terno i wziąłem cztery tysiące reńskich!

— Cztery tysiące!! — zawołał Stach i aż skoczył z ławy — a toż to suma okrutna! Choćbym kuł dzień i noc, i spracował sobie ręce do kości, to tyle pewnikiem i za dziesięć lat nie zarobię!

— A juźci, że nie! — odpowiedział Antoni i schowawszy ręce do kieszeni rozparł się jak pan na zydlu — Ja też nie głupi kuć młotem za kilka grejcarów, i biedować jak pies. Mam moje pieniądze, i żyję sobie uczciwie! O bo ja mam rozum!

Stach aż się oblizał z zazdrości; a potem poskrobał się w głowę i pyta nieśmiało:

— Ba, a jak pieniądze miną?...

Antoni zaśmiał się na to, spojrzał z pychą na Stacha, jak za przeproszeniem na durnia i rzecze:

— Fiu! fiu! fiu! Miną! co to miną! Oho! ja nie głupi! Ja stawiam ciągle dalej na loterję, a nim się moje wygrane pieniądze miną, to jeszcze większą sumę wygram! Ot i na to ciągnienie postawiłem już 5 złotych reńskich, ale jeszcze idę postawić, bo mi przyszły numera do głowy. Kto wie, czy nie wygram terno.

— A co to znaczy terno? — zapytał Stach:

— Hi, hi, hi, zaśmiał się Antoni — to wy nawet nie wiecie co znaczy terno? Jak postawicie 5 numerów a traficie 2, to to znaczy a m b o, a jak traficie trzy to t e r n o! Ale teraz muszę iść postawić numera, bo będzie za późno.

Antoni wstał z ławy, wyciągnął gruby pulares z kieszeni z dużemi banknotami, zapłacił i wyszedł. Stach poszedł za nim niby przez ciekawość, ale przez drogę pomyślał sobie, żeby to nic nie szkodziło, gdyby i on postawił jakie numera.

— Kto wie, czy nie wygram — myślał sobie — a może chapnę sobie sumkę jaką ładną tak jakby darowanego!

Przyszli do sklepu, gdzie była loterja, a Antoni postawił trzy numera i rzucił pięć reńskich na stół. Stach wyciągnął z worka pięć gałek z numerami i wydobył dwie szóstki z kieszeni. Dano mu kartkę, a Antoni powiedział mu, że za dwa dni ciągnienie, a wtedy się dowiedzą, czy co wygrali. Potem rozstał się Stach z Antonim, który zasadził na bakier wysoki błyszczący kapelusz, jak rurę, zapchał cygaro w gębę i postukując laską po kamieniach poszedł sobie na spacer.

Stach tymczasem siadł na wóz i wyjechał z miasta. Kiedy parobek raźno popędzał konie, Stach wyjął z kieszeni kartkę z loteryi i wyczytał na niej numera, a koło numerów było wypisane Ambo-terno.

Ambo-terno! — bąknął Stach sam do siebie — hej hej! gdyby to wygrać terno, jak ten Antek i tak panować sobie jak on! Hej, hej! gdyby to choć wygrać ambo!...

I Stach począł dumać. W jego serce wkradło się licho i szeptało mu w środku: Patrz! ty pracujesz cały dzień boży krwawo, a nie masz ani setnej części tego co Antoni. A Antoni nie pracuje nigdy, ani się tknie nawet młota i obcęgów, bo Antoni wygrywa w loteryę. Czemuż byś i ty nie miał wygrywać w loteryę, zamiast harować dzień i noc za lichą zapłatę! Zły to był głos, co się tak odzywał w sercu Stacha, zła to była myśl, co mu się tak gwoździem wbiła w głowę!

Hej Stachu, Stachu, majstrze poczciwy, porzuć te myśli — bo ci je szatan poddaje! Tylko ten grosz dobry, co go sam zapracujesz, tylko ten chleb smaczny, co go własnym potem oblejesz! Hej majstrze Stachu przeżegnaj się krzyżem świętym i pluń na złą pokusę i te szepty liche.

Ale majster Stach nie przeżegnał się krzyżem świętym i nie odpędził od siebie głupich i złych myśli. Wóz pędził szybko po bitym gościńcu a Stach dumał i dumał i powtarzał sobie „Ambo-terno“ i smażył sobie głowę, jakby to nie pracować, jeno darmo dzień Boży przeleżeć i takie pieniądze wygrać na loteryę, jak Antek kowalczyk i takie mieć sygnety na palcach i taki łańcuch złoty na brzuchu!

Wóz pędzi szybko po bitym gościńcu, a Stach ciągle myśli o loteryi i o loteryi i tak się nią mocno zadumał, że zdaje

mu się akuratnie, jakby szyny żelazne, które brzęczą na wozie, dzwoniły mu ciągle: Ambo-terno! Ambo-terno!

Kiedy Stach przyjechał do domu, był taki zamyślony i nie swój jakiś, że go żona nawet nie poznała. Cały następny dzień Stach kując w kuźni wydobywał w przestankach coś ukradkiem z kieszeni i podchodził pod okno i czytał jakąś karteczkę. Była to karteczka z loteryi, co na niej wypisane były numera i dwa cudackie słowa „Ambo-terno.“

A ledwo dwa dni minęło a Stach wybrał się znowu do miasta, choć nigdy tak często nie wyjeżdżał, a krył się przed żoną, w jakim interesie jedzie. Ale skoro do miasta przybył, zaraz pobiegł do sklepu, gdzie były wystawione te numera z loteryi, które wyszły. Stach przeczytał je zapierając oddech w sobie, popatrzył na swoją kartkę i wykrzyknął z radości. Stach trafił dwa numera, wygrał ambo i wziął kilkanaście reńskich!

— Wygrałem! wygrałem! — począł wołać Stach w radości jakby opętany — i zaraz z wygranych pieniędzy postawił znowu na loteryę, ale już tym razem dużo, bo całego reńskiego. A wróciwszy do domu, pokazał żonie i sąsiadom wygrane pieniądze. Sąsiedzi zazdrościli Stachowi i mówili sobie:

— Co za szczęście na wszystkie boki ma majster Stach! Wygrał na loteryę! szczęśliwy Stach!

Oj nie mieli racyi sąsiedzi! Nie szczęśliwy ale biedny Stach! W tej wygranej leżała przyszła nędza Stacha. Ale Stach nie domyślał się tego i mówił:

— Teraz dopiero zaczęło się moje szczęście!

Oj nie! teraz dopiero zaczęło się jego nieszczęście! Bo od tego czasu zaczął Stach ciągle stawiać na loteryę. Nie pracował już tak jak dawniej, jeno myślał ciągle o numerach, robota nie tknięta leżała nieraz przez kilka dni, ludzie dziwowali się i gniewali na majstra, żona się martwiła, że Stach już nie taki pracowity jak dawniej. Stach tymczasem stawi na loteryę i stawi, rozmaite senniki kupuje, do miasta co drugi dzień jeździ, ale już teraz ciągle przegrywa. A im więcej przegrywa, tem więcej stawi, aby się odegrać — i już prawie cały zarobek kowalski pożera ta nieszczęsna loterya. W kuźni

już nieraz nawet cały dzień cicho, tylko pani majstrowa lamentuje, a Stach albo w mieście przebywa, albo nad nowemi numerami myśli.

Czasem trafił Stach z jakie dwa numera i wygrał kilka reńskich, ale jakby obrachować to, co przegrał przedtem nim wygrał, to strata dziesięć razy większa niż zysk, bo tak zawsze być musi w loteryi. W końcu Stach już prawie nic nie robił, tylko tyle, aby mógł za co postawić na ową loteryę, ba nawet odłożony grosz ruszył, gospodarstwo zaniedbał i tylko do miasta ciągle jeździł. Poczęło mu się rwać, gospodarstwa poczęło upadać, pieniądze odłożone wyszastał do grosza, a choć kiedy jaką kapkę wygrał, to ani w dziesiątej części na swoje nie wyszedł! Żona płacze i lamentuje, a Stach jej mówi:

— Nie troszcz się głupia! wiem ja co robię! Wygrałem już nieraz ambo, ale jak teraz wygram terno, to będziemy żyli jak państwo!

I darmo mu żona perswadowała, aby porzucił te myśli nieczyste, jeno się jął na nowo pracy jak dawniej, bo to tylko grosz pewny, co go człowiek zarobi; majstrowa swoje a Stach swoje, a na loteryę coraz więcej dobytku przepada!

Już i we wsi nie nazywali Stacha inaczej jak tylko Loternikiem — a dobrzy jego przyjaciele i sąsiedzi żałowali go mocno, że z takiego pilnego majstra zrobił się naraz próżniakiem i utratnikiem. Napominali go ludziska i zaklinali, aby się opamiętał, ale ludzie swoje a on swoje i tak niezadługo przyszedł do zguby — jak o tem będzie na raz przyszły.



# Wasyl Seńków

**włościanin z Lubszy i poseł na sejm krajowy.**

Zeszłego wtorku dnia 4. tego miesiąca pochowano we wsi Lubsza pod Rohatynem zacnego kmiecia, Wasyla Seńkowa. Mnóstwo ludzi szło za jego trumną, a nie tylko włościanie ale i panowie odprowadzili go do grobu. I było też kogo żałować!...

Wasyl Seńków sławny był na całą okolicę ze swej prawości i rozumu, a we wsi własnej miał wielkie zachowanie. Kochali go tam wszyscy jak rodzonego ojca i brata, a co Wasyl powiedział, to było świętem słowem dla całej gromady!

To też jak Lubsza Lubszą to nie było tam wójta tak zacnego, jak nieboszczyk Wasyl. A był ś. p. Wasyl wójtem w gromadzie przez całych lat 20, aż do samej śmierci i przez ten cały czas sprawował ten urząd sprawiedliwie i rozumnie, na dobro i pożytek dla gminy, która też za to serdecznie zasmuciła się jego śmiercią.

Kiedy przed kilku laty wybierano u nas posłów do sejmu lwowskiego, to wszystkie wsie pod Rohatynem jedna po drugiej głosowała za Seńkowem, który też wybrany został posłem i zasiadał w radzie sejmowej. A nie zawiedli się włościanie na Seńkowie, bo się mądrze i poważnie zachował na sejmie, i za wszystkiem ciągnął, co tylko dobre było dla naszego kraju.

Kochał bo też Seńków ten kraj nasz, jak każdemu uczciwemu człeku przystoi — a mawiał zawsze, że nie będzie u nas szczęścia, dopóki nie będzie zgody i jedności między synami jednej naszej matki ziemi.

Osobliwie zaś namawiał Seńków kmieci, aby się nie wadzili z panami, bo to ich bracia także, z którymi w miłości na ojczystej ziemi żyć trzeba, bo w kłótni i nienawiści nigdy ani panom, ani kmieciom dobrze nie będzie.

Jeszcze przed samą śmiercią, kiedy słyszał o zwadach i swarach gromad z dworami w niektórych wsiach, mówił on ze smutkiem:

— Oj licho, licho wielkie będzie, jeśli my włościanie nie pogodzim się z panami, przepadniemy w biedzie na wieki!...

I prawdę miał świętą, bo dobra dola i szczęście tylko zgodą i miłością stoją między ludźmi, a gdzie nie ma tej zgody i miłości tam szatan rządzi i nędza doskwiera!...

Weźcież sobie i wy do serca te słowa nieboszczyka Wasyla, któremu po cnotliwem jego życiu na ziemi niechaj Bóg użyczy szczęśliwości niebieskiej!...

# RÓŻNOŚCI.

*Dobra odpowiedź.* Frączek Sobiech gospodarz z pod Rzeszowa oddał do szkół syna swego Wojciecha, który takim wnet został mądrym, że się Sobieskim zwać począł, powiadając, że to jeno na wsi go Sobiechem przezwali, ale że właściwie zwie się Sobieskim. Razu tedy pewnego sąsiad Sobiecha był w Rzeszowie na targu i trafia Wojciecha.

— A jak się masz, Wosiu, rzecze do niego.

Ale mój Wosio jakoś nie słucha.

— Hej, Wosiu Sobiech! krzyknie sąsiad.

A mój Sobieski obróciwszy się rzecze:

— Czyli tam u was zawsze jeszcze tak wiele głupców?

— Ubyło ich, odpowie sąsiad, jakeś ty wyjechał.

I tak dostał Sobiech po nosie za swoją pychę.

*Przykłady późnej starości.* Dwustu lat życia nikt nie dożył, wyjąwszy przykłady, jakie nam Pismo św. podaje. Wiek jednak niektórych ludzi zbliżył się do tej liczby. Węgrzyn Piotr Czartan zmarły w Białogrodzie roku 1724 żył lat 185; Jenkins rybak dożył lat 169. Jan Serington w Norwegii żył lat 160 i kiedy umarł, syn jego najstarszy liczył lat 103 a najmłodszy 9 lat. W roku 1796 żył jeden człowiek koło Połocka mający lak 163, zdrów wesół i rzeźwy a jego najstarszy wnuk liczył lat 95, najmłodszy zaś syn 62 lata. Tomasz Parc ubogi wieśniak ożenił się w 120 roku życia drugi raz i umarł mając lat 152. Drankenberg, Duńczyk służył do roku 91 za majtka, ożenił się w 111 roku i dożył lat 146. Jan Essingham, żołnierz angielski, nakoniec wyrobnik żył lat 144, ośm dni przed śmiercią uszedł jeszcze trzy mile.

*Nowa plaga.* W Czortowcu, w powiecie obertyńskim, w Gródku w powiecie zaleszczyckim i w Muszkarowie w powiecie Uścieczko pojawił się jakiś nowy rodzaj gąsienic, które w zbożach wielką szkodę porobiły. Ponieważ ludzie nie widzieli tam jeszcze takich gąsienic, więc też kilka tych robaków przysłano na pokaz aż do Lwowa, a tu oglądali je uczeni panowie i profesorowie i spisali rozmaite sposoby, jakiemi tę nową plugę można wyniszczyć. Pisanie takie porozsełano ztąd ze Lwowa do urzędów powiatowych, aby to ogłosiły tym wsiom, gdzie ta gąsienica się rzuciła.

*Zaraza na bydło.* Pode Lwowem w Pasiekach wybuchła nagle wielka zaraza na bydło. Bardzo dużo sztuk padło. Wysłano tam zaraz komisyę, która kazała pobić bydło podejrzane o chorobę i porozstawiać warty do koła. Z tego też powodu nie odbywają się we Lwowie targi na bydło. W Bóbrce także ginie bydło na zarazę.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.